**George Orwell *Rok 1984***

Był jasny, zimny dzień kwietniowy i zegary biły trzynastą. Winston Smith, z głową wtuloną w ramiona dla osłony przed tnącym wiatrem, wślizgnął się przez szklane drzwi do Bloku Zwycięstwa, ale nie dość szybko, by powstrzymać tuman ziarnistego pyłu, który wtargnął za nim do środka. Klatka schodowa cuchnęła gotowaną kapustą i starymi, butwiejącymi wycieraczkami. Na jednym jej końcu wisiał barwny plakat, zbyt wielki do eksponowania w ciasnym wnętrzu. Przedstawiał tylko ogromną twarz, przeszło metrowej szerokości: przystojną, czerstwą twarz mniej więcej czterdziestopięcioletniego mężczyzny z sutym czarnym wąsem. Winston skierował się w stronę schodów. Sprawdzanie, czy winda działa, nie miało żadnego sensu. Nawet w najlepszych okresach rzadko bywała czynna, obecnie zaś, w ramach oszczędności związanych z przygotowaniami do Tygodnia Nienawiści, nie włączano prądu przed zmrokiem. (…)

Świat na zewnątrz, nawet oglądany przez zamknięte okno, tchnął chłodem. W dole, na ulicy, podmuchy wiatru wprawiały w wir kurz i skrawki papieru, a choć świeciło słońce, niebo miało barwę stali; wszystko było jakby pozbawione koloru - z wyjątkiem porozlepianych wszędzie dookoła plakatów. Wąsata twarz patrzyła z każdej lepiej wyeksponowanej powierzchni. Jeden plakat wisiał na fasadzie domu dokładnie naprzeciwko. WIELKI BRAT PATRZY, głosił napis, a ciemne oczy wwiercały się w oczy Winstona. Niżej, na poziomie ulicy, inny plakat, z naderwanym rogiem, trzepotał bezładnie na wietrze, to odkrywając, to zasłaniając pojedyncze słowo ANGSOC. W oddali helikopter zniżył się pomiędzy dachy, zawisł na moment niczym mucha mięsna, po czym poderwał się i odleciał, zataczając łuk. Był to patrol policji, szpiegujący mieszkańców przez okna. Ale zwykła policja to pestka. Prawdziwą grozą napawała Policja Myśli.(…)

 Winston stał tyłem do teleekranu. Tak było bezpieczniej, choć - jak wiedział - z pleców też można wiele wyczytać. Kilometr dalej potężny biały gmach Ministerstwa Prawdy, jego miejsce pracy, górował nad ponurym krajobrazem. I to jest Londyn, pomyślał z niejasną odrazą, główne miasto Pasa Startowego Jeden, trzeciej pod względem zaludnienia prowincji Oceanii. Usiłował wydobyć z pamięci jakieś wspomnienia z dzieciństwa, żeby się przekonać, czy Londyn zawsze wyglądał tak samo. Czy zawsze widziało się tu tylko rzędy sypiących się dziewiętnastowiecznych czynszówek o ścianach podpartych stemplami, oknach pozatykanych kawałkami dykty, dachach łatanych blachą falistą oraz rachityczne, walące się murki między ogródkami? I te porośnięte wierzbówką gruzy zbombardowanych domów, nad którymi unoszą się tumany białego pyłu, lub tereny doszczętnie zniszczone przez bomby, gdzie zaraz wyrosły kolonie nędznych drewnianych chat, istnych kurników? Wysiłki Winstona były jednak daremne, nie potrafił sobie nic przypomnieć; z dzieciństwa pozostała mu w pamięci tylko seria świetlistych obrazów, pozbawionych tła i sensu. Gmach Ministerstwa Prawdy - w nowomowie Miniprawd - odbijał zdecydowanie od wszystkich innych budowli w okolicy. Była to ogromna piramida z lśniącego białego betonu, pnąca się tarasami w górę na wysokość trzystu metrów. Z okna swojego mieszkania Winston widział wyraźnie trzy hasła Partii, wymalowane starannie na białej fasadzie:

WOJNA TO POKÓJ

WOLNOŚĆ TO NIEWOLA

 IGNORANCJA TO SIŁA